



Marek Raganowicz

Inverness, Wielka Brytania  
reganclimbing@hotmail.com

<https://doi.org/10.19195/2084-4107.16.18>

## W poszukiwaniu Matterhornu

Słowa-klucze: Walter Bonatti, *Moje góry*, himalaizm, alpinizm, styl alpejski we wspinaniu, literatura góraska

Keywords: Walter Bonatti, *The Mountains of My Life*, himalayism, alpinism, alpine style in mountaineering, mountain literature

### In search of the Matterhorn

#### Summary

The story of Walter Bonatti and his mountaineering and literary legacy starts from an event, duly fictionalized, which has as its background the Poland of the 1980s and the living conditions in a country beyond the Iron Curtain, where even finding information or being able to get close to “the sources” could be a problem. Going to loot or shoplift a library, an act in itself more than execrable, could at the time be a last resort for those who craved knowledge, or even one of the various gestures of impatience and silent rebellion against the regime by a historically indomitable population unwilling to have leadership figures that were not their own. Marek “Regan” Raganowicz grew up in that culture and society, and in his stories he loves so much to refer to the period of his growth and the beloved contradictions of his revered homeland.

Spojrzenie bibliotekarki nie zdradzało żadnego zainteresowania tym, co robię między regałami. Mogłem swobodnie spacerować wśród książek o sztuce kuli-

narnej, fantastycznych opowieściach o robotach, gadających kotach czy tańczącej fasoli. Zatrzymałem się i od niechcenia spoglądałem na biografie przestępców, upadłych marzycieli czy na specjalną półkę z życiorysami wybitnych komunistów, którzy zmienili świat na gorszy niż był. W rzeczy samej żaden z tych tematów nie interesował mnie, bo od początku zmierzałem do regału z napisem „Literatura górską”. Dla niepoznaki sięgnąłem po rozprawę *Lenin w Tatrach* i udając zainteresowanie przewertowałem parę stron. Bibliotekarka podniosła oczy znad książki, do której wklejała jakieś żółte karteczki z adnotacjami, a kiedy opuściła wzrok, natychmiast sięgnąłem po upatrzoną książkę i schowałem ją pod kurtkę, jednocześnie udając zaczytanie w przygodach Lenina. Książka za pazuchą paliła mnie jak rozżarzona cegła. Czułem, że się pocę i muszę wyjść na zewnątrz, ale nie wyszedłem, tylko wybiegłem z biblioteki, czy raczej miejsca przestępstwa, i nie zatrzymałem się, póki nie dotarłem do domu. Tak ukradłem egzemplarz *Moich gór* Waltera Bonattiego<sup>1</sup>, książki, której od lat nie wznawiano i nie sposób było zdobyć ją w antykwariatach. Nie wyobrażałem sobie, żeby nie móc do niej sięgać za każdym razem, kiedy zechcę, więc w jakiś sposób była moja, czekała na mnie. Musiałem ją mieć, tak jak trzeba mieć plan miasta, kiedy chcemy dojść do celu i nie zgubić się w ślepych uliczkach. *Moje góry* czytałem parokrotnie zanim zdecydowałem się je ukraść. Pokazywały mi wspinanie jakiego wcześniej nie poznałem — samotne, osobiste, wręcz intymne. Do dzisiaj nie wypowiadałem się z tej kradzieży i pewnie nigdy tego nie zrobię, ale patrząc wstecz widzę, że w jakiś sposób starałem się odplacić za ten występek. Czułem jego ogień zarówno jako palącego wyrzutu sumienia, jak i wyzwania, czy też zobowiązania do spłacenia długu, mając poczucie winy, że odebrałem innym możliwość obcowania i czerpania inspiracji z *Moich gór*. Chciałem dać coś z siebie i podzielić się tym tak jak Walter.

Niektóre książki przenoszą w przeszłość, opowiadają historie, które autorzy koniecznie chcą z siebie wyrzucić, nawet nie licząc się za bardzo z czytelnikiem — niejako dla własnego oczyszczenia.

Inne książki infekują duszę i każą żyć światem autora. Obezwładniają, ale też zmuszają do oderwania się i życia własnym życiem, podążania własną drogą, której szukanie jest odrębnym wyzwaniem zainspirowanym przez autora. *Moje góry* wstrząsnęły mną i kazały zmierzyć się z zagadką przyszłości, niewiadomą, przygodą i ryzykiem. Otworzyły mi oczy na drogę, którą chciałem podążać z nieokrzesaną ciekawością i dziką pasją.

## Rozdział 5. Południowo-zachodni filar Dru

Po pierwsze, zafascynował mnie opis samej góry. Strzelisty kształt niczym z bajki o dzielnych wspinaczach i niezwykłych urwiskach — groza, dzikość i nieprzewidywalność. Podobało mi się, że w początkowych fragmentach rozdziału Walter oddał szacunek tak pierwszym zdobywcom samego szczytu, jak i autorom

---

<sup>1</sup> W. Bonatti, *Moje góry*, przeł. B. Norton, Warszawa 1967.

dróg na północnej i zachodniej ścianie. Przez to wydawał mi się wspinaczem, dla którego pisanie nie jest instrumentem promowania nadętego ego. Opisał swoje obsesje i próby przejścia południowego filara — raz z Maurim, a dwa lata później, po powrocie z traumatycznej wyprawy zdobywającej K2, już w czteroosobowym zespole z poprzednim partnerem oraz Oggionim i Aiazim. Niestety pogoda i trudności zgoniły ich ze ściany. Czytając tę opowieść o nieudanych próbach wiodących do zwycięstwa, oczekiwałem pojawienia się kogoś wyjątkowego, jak to bywa w bajkach — kiedy bohater traci zapal i wiarę, nagle przychodzi ktoś, kto na nowo zapala płomień walki i doprowadza do zwycięstwa całego zespołu. Ku mojemu zaskoczeniu, po akapicie na stronie 100 przeczytałem słowa, które później powtarzałem wielokrotnie i które powracały do mnie przez wszystkie lata solowego wspinania:

Wreszcie nastąpił przełom. Pewnego dnia, jak szaleńczy pomysł zrodzony z psychicznej depresji, opanowała mnie myśl powrotu na Dru, tym razem samotnie, by dowieść samemu sobie, że nie jestem człowiekiem skończonym.

Mijały dni i to co nazwałem szaleńczym pomysłem, zamieniało się pomału w promyk nadziei i wiary. Niebawem żyłem wyłącznie myślą dokonania samotnego wejścia na Dru<sup>2</sup>.

Zrozumiałem, że prawdziwe wyzwanie ściany to nie kwestia stawienia przed nią coraz większego zespołu, lepszych partnerów czy użycia bardziej wyszukanego czy inwazyjnego sprzętu, lecz psychiki, nastawienia, determinacji i rozumienia, że ściany i drogi są w nas wpisane, czekając na moment, w którym będziemy gotowi się z nimi zmierzyć. Nie ma w tym nic z wrogości, walki czy nienawiści, które kuszą do porównania wspinaczki do wojennej potyczki. Kluczem jest zrozumienie, wewnętrzna siła i czystość stylu. Chciałem uprawiać takie wspinanie i głęboko uwierzyłem, że jest to moja droga w górach.

Dzisiaj rozumiem, że moje późniejsze wspinanie przez długi czas było szeregiem odniesień do stylu solowego przejścia południowo-zachodniego filara Dru i drobnych historii z tej wspinaczki. W góry trafiłem dobre 30 lat po największych sukcesach Bonattiego, więc musiałem też otworzyć oczy na zmiany etyki i akceptować rozluźnienie reguł, którym hołdował Mistrz. Opisując samotną wspinaczkę na Dru wyraźnie zaznaczył, że wiercenie w skale zabija pojęcie „niemożliwego”, a co za tym idzie: podważa sens alpinizmu. O ile zgadzałem się co do idei i późniejszego rozwinięcia tej kwestii w sławnym artykule Messnera *L'assassinio dell'impossibile*, to nie mogłem oprzeć się powtarzaniu dróg wytyczonych z użyciem nitów i fascynacji dokonaniem yosemickich mistrzów „Nowej Fali” we wspinaniu hakowym. Kiedy zacząłem powtarzać ich ekstremalne drogi wytyczone z użyciem nitów, rozumiałem, z jak wielką determinacją, opłaconą najwyższym ryzykiem, dążyli do maksymalnego ograniczenia wiercenia. Tym samym, w gruncie rzeczy, zachowali zasadę Bonattiego mówiącą o tym, że sens

<sup>2</sup> *Ibidem*, s. 100

alpinizmu leży w utrzymaniu równowagi między użyciem inwazyjnego sprzętu a wysiłkiem psychicznym.

Za każdym razem wspinając się na El Capitanie wspominam Bonattiego, i to nie tylko z powodu jego rygorystycznej etyki, ale również pamiętając mój ulubiony fragment opisujący dramatyczne chwile, kiedy musiał wyrzucić część jedzenia zalanego benzyną. Pisał: „Zostały mi tylko dwie paczki herbatników, tuba skondensowanego mleka, cztery serki, puszka tuńczyka, puszka pasztetu, trochę cukru i suszonych owoców oraz fłaszeczka koniaku i dwie puszkę piwa”<sup>3</sup>. Właśnie te dwa ostatnie produkty przykuły moją uwagę i przełamały monolityczny wizerunek Wielkiego Mistrza, który w swej surowości zasad odrzuca pokusy używek. Ci, którzy mnie znają wiedzą, że nie jestem wielkim zwolennikiem napojów wysokowych, ale na każdej wspinaczkę na El Capitanie, wzorując się na Mistrzu i kultywując jego pamięć, zawsze mam ze sobą dwie puszkę piwa.

#### Rozdział 4. Z włoską wyprawą K2 i rozdział 10. Zdobycie Gaszerbrum IV

W czasie, kiedy zaczytywałem się książkami o wspinaniu (w latach osiemdziesiątych), Polacy rozpoczynali erę pierwszych wejść zimowych na szczyty osmiotysięczne. Wielką premierą było zdobycie Everestu, które szeroko komentowały media i o którym mówiło się w lokalnych klubach wspinaczkowych. Wtedy stałem na samym początku mojej górskiej drogi i zastanawiałem się, którą drogą pójść. Przyglądałem się himalaizmowi, ale zdecydowanie bardziej pociągały mnie wielkie skalne urwiska pokonywane w małych zespołach. Wprawdzie uśmiechnięte twarze zdobywców himalajskich szczytów były inspirujące i kuszące, ale po lekturze *Moich gór* wiedziałem, że czasami kryje się za nim doświadczenie podobne do tego, które przeżył Bonatti na K2 — rozczarowanie, zawód, czy gniew na rażący egoizm, który podważa wiarę w partnerstwo. Nie miałem zamiaru doświadczać tego w górach i postanowiłem trzymać się z daleka od wieloosobowych wypraw pod państwowymi sztandarami i wzniosłymi hasłami okraszonymi wojenną retoryką. W rozdziale o K2 znalazłem opis rozpacz i walki o życie, która podyktowana była groźnym egoizmem partnerów. Wydawało mi się, że po takich doświadczeniach Bonatti nie wróci więcej w Himalaje, a jednak myliłem się. Pojechał tam jeszcze raz, ale tym razem zmieniając styl. W małym zespole zdobył wraz z Carlo Maurim Gaszerbrum IV, i z pewnością można by dzisiaj uznać to wejście za jedno z inicjujących styl alpejski w górach wysokich.

#### Rozdział 14. Centralny Filar Freney

Ostatni rozdział książki, opowiadający o tragicznych wydarzeniach na Filarze Freney, pozostawia czytelnika z wielkim pytaniem o sens dalszego wspinania. Po doświadczeniu śmierci czterech towarzyszy każdego z nas z pewnością naszłyby

---

<sup>3</sup> *Ibidem*, s. 106

myśli o rezygnacji. Sam autor pozostaje przy wspinaniu, nie wskazuje nikomu dalszej drogi, nie poucza co jest dobre, a co złe. Czytelnik na fundamentalne pytania o sens ryzyka i wspinania musi odpowiedzieć sobie sam. Walter po tragedii na Freneyu kontynuował wspinanie, co dla mnie, jako młodego czytelnika na początku kariery, było czymś oczywistym i wyobrażałem sobie, że gdybym był na jego miejscu, to podjąłbym podobną decyzję. Niecałe dziesięć lat później, po własnych przeżyciach, zrozumiałem, że rozstrzygnięcie takich kwestii jest znacznie trudniejsze niż mi się wydawało czytając książkę.

### Nienapisany rozdział 15, czyli gdzie jest nasz Matterhorn?

Jakiś czas po pierwszym czytaniu *Moich gór* dowiedziałem się, że Walter zakończył wyczynowe wspinanie. Zdarzyło się to wiele lat po ogłoszeniu jego decyzji, ale w tamtych czasach informacje zza żelaznej kurtyny dochodziły do Polski ze znacznym opóźnieniem. Przeczytałem, że po solowym wytyczeniu w zimie nowej drogi na północnej ścianie Matterhornu Bonatti wycofał się z profesjonalnego alpinizmu. Nigdy nie poznałem opisu tej ostatniej wspinaczki, ale wyobrażałem sobie, jak po morderczym wysiłku schodzi ze szczytu, idzie na stację w Zermatt, zjeżdża kolejką do doliny i, zostawiając wszystko za sobą, anonimowo wtapia się w tłum turystów, którzy nie mają pojęcia o jego wyczynie. Być może jeszcze w miasteczku lub nawet gdzieś pod ścianą symbolicznie zostawia swój plecak. Brezentowy worek na sprzęt, który normalnie nie różniłby się od innych, lecz ten konkretny, zostawiony przez Bonattiego, miał czekać na kogoś, kto podniesie go i pójdzie dalej.

Z pewnością jego ostatnia wspinaczka — wytyczenie nowej drogi solo na północnej ścianie Matterhornu — była wyczynem przerastającym sukcesy całej generacji i do dzisiaj można uznać dzieło trzydziestopięcioletniego alpinisty z Bergamo za jedno z najwybitniejszych dokonań we wspinaniu i to nie tylko solowym, ale w całym alpinizmie.

Każdy bohater młodości jest w jakiś sposób idealny i Walter był takim herosem dla mnie. Identyfikowałem się niemal ze wszystkim o czym pisał w *Moich górach*, ale nigdy nie rozumiałem jego decyzji o porzuceniu wyczynowego wspinania po 17 latach wspinałej kariery. Będąc u szczytu sławy potrafił powiedzieć „dość”, poświęcając się dziennikarstwu, pisaniu i podróżniczej eksploracji. Dzisiaj myślę, że wielkość dokonań i wyjątkowość życiorysu Waltera Bonattiego w gruncie rzeczy inspirowało do pytania o to, gdzie jest nasz Matterhorn. Poszukiwanie swojego indywidualnego Matterhornu jest sztuką wymagającą wyczucia granicy, której nie warto przekroczyć. Dojście do tego ostatniego momentu, po którym krok dalej nie ma sensu, jest bez wątpienia sztuką, która w indywidualnym wymiarze daje spełnienie, nadaje sens wspinaniu w perspektywie całego życia. Czyż nie idziemy w góry po to, żeby poznać tę swoistą krawędź, czyż nie po to dajemy z siebie wszystko, żeby dojść do *limesu*, a nasze kolejne drogi, wyzwania jakie sobie stawiamy, marzenia, które stają się obsesją popychającą do wysiłku, determina-

cji, czy wręcz szaleństwa, podobne są do matematycznej metody wyczerpywania? Według niej, trawestując definicję, chcąc poznać pole naszych rzeczywistych możliwości wpisujemy w nie góry, ściany, drogi, a najbardziej istotnym ograniczeniem nie jest nasze ciało czy umiejętności, lecz strach przed przekroczeniem granicy, zza której nie ma powrotu. We wspinaniu najgorszą udręką są pytania: czy mógłbym pójść dalej? Czy dałem z siebie wszystko? Jednocześnie być może największym spełnieniem jest pewność, że nasze wspinanie dotknęło tej nieprzekraczalnej granicy, tego osobistego Matterhornu, za którym jest już tylko cicha pustka.